

Janusz Berghauzen, historyk z Uniwersytetu Warszawskiego, w latach 60. badał Goralenvolk i inne ciemne sprawy podhalańskie. Z tej racji często bywał w Zakopanem, pomieszkując w Muzeum Tatrzańskim. Miał zacięcie pedagogiczne, więc postanowił mnie, młodszego asystenta muzealnego, który pętał się tam samopas, wyprowadzić na człowieka. To znaczy na doktora nauk historycznych, a potem się zobaczy. Wymyślił mi nawet (dał spod serca – tak się wyraził) temat dysertacji: *Kariera Podhala*. O tym, jakimi drogami góral podhalański wchodził do kultury polskiej. Janusz wierzył w moje możliwości i z tej przyczyny starał się we mnie stępić, a najlepiej gruntownie wypłenić inklinacje literackie, które już wówczas zacząłem przejawiać („tekst literacki”, „literatura piękna”, „ambicje literackie” to były w środowisku zawodowych historyków lekceważące epitety). Ale – trochę na odczepnego – latem 1969 roku umieścił w tygodniku „Kultura” mój światoburczy artykuł *Nasz słodki prymityw* o góralskich mitach i ówczesnym podejściu do kultury ludowej Podhala.

Byłem wielce zasadniczy, choć – naturalne prawo młodości – poruszałem się po omacku. Przyznałem Januszowi rację: „kariera Podhala” to dla mnie wymarzony temat. Ale nie da się go zamknąć w konwencji pracy doktorskiej ani opisać naukowym żargonem, po prostu szkoda. Pół roku wcześniej złożyłem inny artykuł w pewnym naukowym czasopiśmie, gdzie usłyszałem, że mój tekst ujdzie, nawet owszem ciekawy, ale niechże pan doda trochę przypisów, inni autorzy mają po kilkadziesiąt, pan tylko siedem. To będzie w druku nieestetycznie wyglądać! – Ha – pomyślałem – nic tu po mnie. Innym znów razem w rozprawie naukowej, bardzo cennej, fundamentalnej, trafiłem na tytuł podrozdziału: *Przemiany w łonie chłopstwa*. Chodziło o skutki uwłaszczenia. – Z czego się śmiesz? – spytał Janusz, skądinąd człowiek obdarzony poczuciem humoru. – Z tego łona. Jest nieudolne językowo, napuszone, co daje niezamierzony efekt humorystyczny. Tym większy, że cały tekst świetny. Ale autorowi ni z tego, ni z owego wypsnęło się to łono chłopstwa. Pewnie dlatego, że nieustannie obraca się w środowisku historyków i nieświadomie nasiąkł waszym bełkotem. – E, tam, wybrzydzasz. Tytuł jak tytuł. Najważniejsze, że wiadomo, o co chodzi. A ty się czepiasz.

Jakoś mnie nie ciągnęło do kariery naukowej, zważnej w środowisku „prawem rury” (człowiek wchodzi do rury z jednego końca jako młodszy asystent i przesuwa się ruchem robaczkowym, aby wyjść drugim końcem jako emerytowany profesor).

Nasz słodki prymityw wywołał znaczny odzew, bo wówczas o sztuce ludowej nikt w ten sposób nie pisał; temat był uświęcony stuletnią inteligentką tradycją oraz zgodny z polityką kulturalną państwa, wywodzącą się z lat 50. To właśnie mnie fascynowało: ów sprośny

Od zbójnika do słonia w koronkowych gatkach

(autoreferat)

związek Młodej Polski z pozostałościami realizmu socjalistycznego.

Reakcje były skrajne – wiele przychylnych, inne polemiczne (Związek Podhalań zorganizował w Zakopanem spotkanie dyskusyjne pod tytułem „Nasz słodki region”). Ale najbardziej mnie zaskoczyło, że sam pan Aleksander Jackowski, redaktor „Polskiej Sztuki Ludowej”, zaproponował mi udział w dyskusji „Aktualne problemy ludowej twórczości i opieki nad nią w Polsce”, w Instytucie Sztuki PAN. Pojechałem z pustką w głowie, pełen emocji. Zebrały się same tuzy, wybitni teoretycy i praktycy: Kazimierz Pietkiewicz, Stanisław Stroński, Marcin Czerwiński, Aleksander Małachowski, Wanda Telakowska, Stanisław Błaszczuk, Maciej Szańkowski, Tadeusz Więckowski, Zygmunt Ciesielski, Anna Kunczyńska-Iracka, Maria Bujakowa, Antoni Kamiński, Bożena Golcz. No i ja, za przeproszeniem.

Ale przedtem zaprosili do redakcji na posiadę. Jackowski, Jarnuszkiewiczowa i Kunczyńska gratulowali artykułu w „Kulturze”, obiecując, że w spokojniejszej chwili wytkną mi błędy. Zaproponowali mówienie po imieniu. „Jeśli myślisz, że jesteśmy fanatykami sztuki ludowej w jej obecnych formach i boisz się, że ci oczy wydrapiemy, to się mylisz” – powiedziała Jadwiga. „No i weź pod uwagę, że jesteśmy inteligentni. Ja to nawet wybitnie” – dodał Jackowski. Okazywali mi sympatię, byli serdeczni, co mnie wielce zdumiało, jako że w życiu zawodowym jeszcze mi się to nie zdarzyło.

Tydzień później wielce się zafrasowałem, czytając stenogram mojej wypowiedzi w tamtej dyskusji. – To się przecież nie nadaje do druku, tego się nawet nie da poprawić. – Więc napisz od nowa – poradziła Ania Kunczyńska. – Ale czy tak można? Co innego mówiłem, a co innego będzie w piśmie? Czy to uczciwe? – Chyba nie mamy innego wyjścia – uśmiechnęła się.

Mój pierwszy dłuższy artykuł w kwartalniku „Polska Sztuka Ludowa” ukazał się w 1971 roku. Czterdzieści pięć lat temu, nie do wiary. Nosił tytuł *Zbójnik podhalański w kulturze polskiej*. Anka Kunczyńska i Jacek Olędzki sporo się nad nim napracowali. Proponując zmiany, byli taktowni, starali się mnie nie zrazić. Gdy

tekst był gotowy, do Zakopanego przyjechał Janek Świderski, redakcyjny fotograf. Chodziłem z nim ze dwa dni, wskazując regionalne szkaradziejstwa, których tam pełno. Jakże niezbędne w tamtejszym otoczeniu, jakże upragnione. Oczywiście do głowy mi nie przyszło, że *Zbójnik* będzie pierwszym szkicem do zbójnickiego rozdziału *Sklepu potrzeb kulturalnych*.

Myślę, że w ciągu tych czterdziestu paru lat kilka razy się pismu przydałem.

W artykule *Aktualny stan stroju podhalańskiego* (1972, nr 1) wyraziłem zdziwienie, że strój podhalański, obrosły ponadstuletnią ikonografią, opiewany w poezji i prozie, nie doczekał się opracowania naukowego, a wszystkie okoliczne (orawski, kliszczacki, pogórzański, spiski, pieniński) i owszem. – Czy to prawda? – spytał wykładowca studentkę, Podhalańkę z pochodzenia. – Tak, prawda. – Więc na co pani czeka? Dziś tamta studentka pracuje w katedrze etnografii, napisała ze stroju podhalańskiego doktorat, jest autorką cennych publikacji. Opowiedziała mi przy jakiejś okazji, że mój artykuł zaważył na jej życiu zawodowym. Poczulem drobną satysfakcję.

Paszyński ośrodek plastyki ludowej (1975, nr 1-2) także okazał się pożyteczny: w rozmaitych artykułach prasowych, a i w pracach magisterskich raz po raz trafiałem na całe akapity bezceremonialnie z niego przepisane, najczęściej bez powołania się na źródło. Ksiądz Edward Nitka wkleił nadbitkę do *Kroniki ekspozycji paszyńskiego talentu*, więc każdy dziennikarz, a w owych latach przewijało się ich przez plebanie po kilku w tygodniu, miał gotowca, przepisywał, co mu pasowało, proboszcz zaś nie musiał opowiadać wciąż tego samego w kółko. Artykuł został nawet przetłumaczony na angielski, ukazał się w „Polish Art Studies”, piśmie Instytutu Sztuki, z czego ksiądz się ucieszył, bo miał wyrękę w kontaktach z cudzoziemcami, którzy wtedy często zaglądali do Paszyna.

Artykuł o Paszynie przydał się i mnie, bo zamieściłem go z niewielkimi zmianami w pierwszej książce, *Współczesna rzeźba ludowa Karpat Polskich* (1979), którą wydał Instytut Sztuki PAN, z inicjatywy Jackowskiego. Później czyniłem tak parokrotnie: *Krakowskie bractwo artystyczno-grobownicze* (1986, nr 3-4) o galicyjskich cmentarzach z pierwszej wojny światowej weszło do książki *O Szwajku i o nas* (1992, 2002); fragmenty *Starorzeczy* (2010), nim złożyły się na obszerny tom, ukazały się w kilku numerach „Kontekstów”, bo tymczasem pismo zmieniło nazwę; „Polska Sztuka Ludowa” ostała się jedynie jako podtytuł.

W latach 80. i 90. pojęcie etnografii i sztuki ludowej zaczęło zmierzchać. Etnografia przeobrażała się w antropologię kulturową. Tradycyjna etnografia Polski miała wyrazisty zakres przedmiotowy, było oczywiste, czym się zajmuje, antropologia – nie; w praktyce przyjęto, że na dobrą sprawę każdy tekst literacki próbujący opisać jakiś wycinek życia spo-

łecznego to rozprawa antropologiczna. Moje szkice również. *Osobliwe lata siedemdziesiąte* (2011, nr 1) znalazły się w książce *Wesołego Alleluja* *Polsko Ludowa* (2014), zaś *Muzeum Tatrzańskie, moja pierwsza i ostatnia miłość* (2013, nr 1) w *Sklepie potrzeb kulturalnych po remoncie* (2013). Publikacja tych tekstów bardzo pomogła mi w pracy nad książkami, jestem za to Redakcji wdzięczny.

Artykuł *Problemy współczesnej kultury lemkońskiej na przykładzie Muzeum w Zyndranowej* (1985, nr 3-4) wywołał spory oddźwięk wśród Łemków w Polsce i diaspory, nawet opublikowano go po angielsku w łemkowskim czasopiśmie wychodzącym w Stanach. Teodor Gocz, twórca muzeum, dziękował mi jeszcze po latach. Wspominał, że w potyczkach z lokalnymi władzami wielce mu pomogło, że jego łemkowskie muzeum opisano z uznaniem w naukowym czasopiśmie Polskiej Akademii Nauk ukazującym się w Warszawie. – Widzicie? O, proszę, Warszawa mnie popiera! Zebrałem też inne opinie: pewna działaczka, z zawodu nauczycielka języka ukraińskiego, gdy usłyszała, że tekst ukazał się w kwartalniku „Polska Sztuka Ludowa”, w numerze poświęconym Łemkowszczyźnie, natychmiast przyjęła za oczywistość, że mam jak najgorsze intencje: chcę anektować kulturę łemkowską, spolonizować Łemków, oderwać ich od ukraińskiej macierzy. – Kto przeczyta tytuł pisma „Polska Sztuka Ludowa”, a w środku zobaczy artykuł, będzie doskonale wiedział, o co panu chodzi – nieważne, co pan napisał. Mnie pan nie nabierze, za dobrze was znam. Niech się więc pan nie łudzi, nic z tego, proszę pana, na nic wasze knowania.

„Konteksty” kilkakrotnie opublikowały fragmenty *Prywatnego leksykonu współczesnej polszczyzny* (tytuł zmieniał się parokrotnie), nad którym pracujemy, Barbara Magierowa i ja, od początku lat 80., czyli od ponad trzydziestu. W numerze 1 w 1991 roku ukazał się wstęp oraz próbka haseł z różnych dziedzin, potem *Życie trzeba, czyli jak mieszkańcy miast radzili sobie w realiach PRL* (2010, nr 4) o słownictwie czasów nieustannego niedoboru towarów. W numerze futbolowym (2012, nr 3-4) zamieszczono, pod tytułem *Piłka jest okrągła albo kwadratowa*, przykłady piłkarskiej polszczyzny potocznej. A w bieżącym jubileuszowym 2016 roku ukaże się kolekcja słów i zwrotów o Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie, w tym tytułowy słów w koronkowych gatkach (autorstwa Stefana Kisielewskiego) oraz obszerne hasło „Polska, polski”, naszym zdaniem szczególnie wyraziste i mocno zróżnicowane, jak obecne społeczeństwo. Prócz tego fragmenty leksykonu ukazały się w „Nowych Książkach” (2003, nr 2), „Magazynie Gazety Wyborczej” (17-18 VII 1998), „Dzienniku Polskim” (17, 21 I 1992), zaś cykl felietonów na podstawie zebranego materiału (podpisywanych Dr Babab) – drukował londyński „Tydzień Polski i Dziennik Żołnierza” w 1993 roku. Próby wydania drukiem

całości, parokrotnie ponawiane, z różnych względów nie powiodły się.

„Konteksty” od lat są wiernym przyjacielem naszego leksykonu. Bardzo sobie cenimy tę przyjaźń. Dzięki opublikowanym fragmentom mamy dokąd odesłać osoby bliżej zainteresowane treścią zbioru, jego historią, kryteriami doboru haseł, metodami pracy. Teraz jedynie podsumuję w największym skrócie: jest to kopalnia wiadomości o zjawiskach ulotnych, przemijających, które składają się na dzieje kultury polskiej, najszerzej pojęte, od „Polski Lubelskiej” z lata 1944 roku do dziś. Kompendium dziejów kultury polskiej z perspektywy mowy potocznej – naocznego świadka i wszechobecnego komentatora. Gdyby nie nasz leksykon, wiele spraw, które nas bezpośrednio dotyczą, poszłoby w niepamięć albo byłyby niezrozumiałe dla wnuków. Więc, jak powiedział poeta, chcemy ocalić od zapomnienia.

Od ponad trzech dekad tropimy językowe osobliwości w wybranych gazetach i książkach (wspomnieniach, pamiętnikach, reportażach, publicystyce, literaturze faktu). Systematycznie, na bieżąco, niezależnie od innych zajęć. Ważnym źródłem pozyskiwania haseł jest bezpośredni język otoczenia, mówiony i pisany (szyldy, ogłoszenia, wywieszki, skrzydlate słowa mowy potocznej) oraz wydobywanie z pamięci językowych ciekawostek i charakterystycznych zwrotów Października, Marca, Czerwca (jednego i drugiego), Sierpnia, Grudnia, czyli Polskich Miesięcy i lat pozornej ciszy między kolejnymi kryzysami. W naszym zbieractwie ważną rolę odgrywał przypadek, ale im bardziej kartoteka rosła, tym obraz stawał się pełniejszy, bogatszy. Obecnie (lato 2016) zbiór zawiera około czternastu milionów znaków drukarskich, czyli trzysta pięćdziesiąt arkuszy autorskich. Całość materiału jest na fiszkach ułożonych alfabetycznie, wprowadzonych do pamięci komputera. Większość haseł tłumaczy cytaty.

Przed kilkoma laty redakcja zaproponowała nam wydanie całości zbioru w bibliotece „Kontekstów”. Projektowaliśmy dzieło na sześć woluminów (pięć tomów tekstu oraz szósty zawierający indeks, bibliografię i wykaz skrótów), na papierze i w wersji elektronicznej, systematycznie uzupełniane. Instytut Sztuki PAN dwukrotnie składał wnioski o dofinansowanie, na razie bez odzewu.

Autorów, starszych państwa po siedemdziesiątce, ściga tak zwana peselozna – martwią się, by po ich najdłuższym życiu dzieło nie wylądowało na śmietniku, bo naprawdę byłaby ogromna szkoda. Wydaje nam się, że najlepszym wyjściem byłoby opublikowanie na papierze wyboru najbardziej wyrazistych haseł (25-30 arkuszy autorskich) i dołączenie do tomu płyty CD z całością materiału. Sami nie jesteśmy w stanie zdobyć się na taką publikację, możemy jedynie, póki sił starcza, redagować i uzupełniać zbiór. A każdy dzień przynosi coś nowego.

No to jak, pomożecie?

